

WŁCZAK

Magdalena
Salik

WŚCIĄK



powergraph

Warszawa 2024

Copyright © 2024 by Magdalena Salik
Copyright © 2024 by Powergraph
Copyright © 2024 for the cover by Jan Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Elżbieta Żukowska
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Jan Kosik
Projekt graficzny i opracowanie wnętrza: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: +48 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-67845-32-8

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.
Printed in Poland, EU

„Właściwie jedynym, co potrafimy
sobie wyobrazić, jest katastrofa”.

David Graeber, *Dług*

Część I

Okolo 56 milionów lat temu, najprawdopodobniej na skutek zwiększonej aktywności wulkanicznej, doszło do gigantycznego wzrostu ilości CO₂ w atmosferze ziemskiej. Średnia temperatura globu podniosła się o 58 st. Celsjusza. Stężenie dwutlenku węgla w powietrzu wróciło do wyjściowego poziomu dopiero po 200 tysiącach lat.

Wikipedia

Rozdział 1

Ryk mamutów

Amy

Cześć. To jest Amy. Amy najbardziej na świecie kocha paradoksy. Gdziekolwiek je napotyka – w liczbach, obrazach, tekstach – zderzające się logiki fascynują ją do szpiku kości.

Amy chce sama opowiedzieć o tym, co zrobili. Marzy, by zacząć od jakiejś zgrabnej sprzeczności.

Ale to nie jest proste. Zdarza się, że coś w jej myślach przeskakuje i zdania płyną. Najczęściej jednak denerwuje się i potyka o słowa.

Po zastanowieniu Amy uznaje, że nadszedł czas.

Przyszłość to te miejsca w przeszłości, które kiedyś nią były.

Dagan

— Nazywam się Dagan.

— Przepraszam, jak?

Odwracam głowę, prosto pod wiatr.

Wieje spod płaskiego wzniesienia, które zamyka dolinę. To nieczynny islandzki wulkan, Grensdalur, wygasły od plejstocenu. Niewysokie wzgórze jest nagie jak ostrzyżona do skóry owca. Mimo jesieni w powietrzu czuć mdłe ciepło. Ze strumienia, wijącego się doliną, unoszą się skisłe kłęby pary wodnej.

Rozglądam się. Po obu stronach potoku, przy którym się zatrzymałem, roją się ludzie. Na zbocze po prawej wdrapała się grupka naukowców. Glacjologzy, zoolodzy i oceanografowie otaczają kołem miejscowego botanika. Islandczyk z nużącą szczegółowością opowiada im o swojej specjalności, mchach strefy borealnej.

Wśród naukowców stoi mój przyjaciel, Mark Cevasso. Mimo niewygodnej pozycji, jaką musi przyjąć na pochylonym stoku, podniesioną nogą opierając się o kamień, utrzymuje ciało w całkowitym bezruchu. W skupieniu chłonie naszpikowaną detalami opowieść. Ze śmiertelną powagą wpatruje się w prezentowany strzępek mchu gwiaździstego.

Mark, meteorolog, nie ma pojęcia o botanice. Ściema, podsumowuję go w myślach. Jestem poirytowany.

Chłopak, który przed chwilą do mnie podszedł, przestępuje z nogi na nogę. To jeden z tutejszych studentów, podręcznikowo uprzejmy, jak wszyscy przed licencjatem.

— Przepraszam, jak się nazywasz? — powtarza pytanie. — Gdy wieje, gorzej słyszę — usprawiedliwia się.

Dzięki Bogu, nie jestem już tak młody, jak ten dzieciak. A w ostatnie urodziny, czterdzieste pierwsze, raz na zawsze zwolniłem się z obowiązku bycia dla ludzi miłym.

— To idź do laryngologa. Przeplucze ci uszy.

Przed czterdziestką też nie byłem specjalnie miły, prawdę powiedziawszy.

Chłopak robi wielkie oczy. Wcześniej niedosłyszał, więc teraz jest pewny, że się przesłyszał. Zostawiam go i przeskakując po kamieniach, przekraczam strumień.

Już nie jestem tylko poirytowany, robię się zły. I, jak zawsze w takich sytuacjach, staję się podsterowny. Ślizgam się na kamieniu, po czym wpadam do strumienia. Wystarczająco głęboko, by lodowata woda wlała mi się do buta.

Ziąb przenika mnie przykrym dreszczem.

Niestety po lewej stronie strumienia także nie jestem sam. Mam przed sobą grupę turystów, którzy niedawno nadeszli z dołu. Co bolesne, na pierwszy rzut oka nie różnią się niczym od moich kolegów naukowców. Noszą takie same goretexy, takie same górskie buty oraz owijki na szyję produkowane przez globalnego monopolistę. Są za to w innym nastroju: zamiast prezentować pełne zadumy skupienie, głośno żartują i pstrykają fotki.

A jest co fotografować, bo akurat wyszło słońce. Mgły błakają się nad potokiem. Stoki poniżej wulkanu porasta falujące morze łubinu alaskańskiego.

Jeden rzut oka wystarczy, bym wytypował, czysto intuicyjnie, nieformalnego przywódcę turystycznej wycieczki. Jest nim tęgi mężczyzna z buraczanym nosem i bandanką na głowie. Robi zdjęcia dwóm kobietom, które ustawiły się na tle fioletowej łąki.

Podchodzę do nich.

— Wiesz, co fotografujesz? — zaczepiam typa.

Mówię tak głośno, żeby wszyscy turyści mnie usłyszeli.

— Słucham?

— W prosektorium też pozujecie? — zwracam się do kobiet. — Przy trupach?

— Przepraszam, czy mógłby pan... — Przewodnik wycieczki, który chwilę wcześniej przynudzał o źródłach geotermalnych, jest już przy mnie. — Czy mogę prosić...

— Spadaj koleś! — Burakowi znacznie łatwiej przychodzi sformułowanie tego, co jest do powiedzenia.

— Właśnie, wypierdalaj! — parska jedna z kobiet.

— Lubisz pstrykać sobie zdjęcia w kostnicy? Przy zwłokach?

Podchodzi do nas starsza turystka o białych, schludnie przyciętych włosach.

— Pan dosadnie nazwał to, o czym sama myślałam — łagodzi. — My wiemy, że to anomalia. — Pokazuje na kwiaty. — Tutaj, tak wysoko, ich w ogóle nie powinno być. Są gatunkiem inwa...

— Was tu nie powinno być! Wy jesteście gatunkiem inwazyjnym!

— Kolejny pojebany ekolog! Spierdalaj!

— Ekolodzy już nie istnieją! Ani ekologia! Wiesz o tym? Czuję na ramieniu czyjąś dłoń. Mark.

Cevasso, najwyższy ze wszystkich obecnych, zręcznie wślizguje się między mnie a buraka i jego towarzyszki.

— Przepraszam. Bardzo państwa przepraszam — mówi z wrodzoną grzecznością. — Dag, chodźmy, proszę.

Przez ostatnie dwa tygodnie Mark był mi niańką, terapeutą, radcą prawnym, powiernikiem oraz ochroniarzem. Ostatnia rola, którą jest nieco przestraszony, wychodzi mu najgorzej.

— Niejarzące artefki! — Przyjacielska interwencja, jak zawsze, tylko bardziej mnie rozjusza. — Przez takich jak oni wszyscy mamy przerąbane!

— Zabierz go pan stąd, byle prędko!

— Bo co?! — krzyczę. — Myślisz, że jak odwalasz kochaną pracunię, to jesteś lepszy? Tu nic nie jest twoje! — Macham ręką naokoło. — Tu nie ma żadnej relacji własności, łapiesz? Gównu łapiesz, jesteś jebanym artefaktem posranego systemu, który rozpieprzył ten świat!

Dag, w świecie nieuzgodnionych pojęć nie rozumiemy już nawzajem swoich wyzwisk, słyszę w głowie znajomy głos.

Tracę rezon, a Markowi, który nie znosi wulgaryzmów, publicznych awantur oraz pouczania innych – czyli tych form kontaktu ze światem, do których ograniczyłem się od przyjazdu z Kanady – nagle wyczerpuje się cierpliwość.

— Bardzo państwa przepraszam! Naprawdę bardzo. Kolega właśnie rozchodzi się z żoną.

Zatyka mnie. Po raz pierwszy ktoś powiedział to głośno.

Jane

Cześć. Nazywam się Jane. Jestem siostrą bliźniaczką Amy. Jednak nie jestem taka jak Amy. Różnimy się wszystkim poza kodem genetycznym, rodzicami i wyglądem.

Na przykład w sytuacji, w jakiej się właśnie znajduję, czyli na nudnym zebraniu w pracy, Amy ukryłaby się w swoim świecie. Udając, że uważa, pokątnie czytałaby książkę. Ja natomiast – zamiast zatopić się w czytniku – koncentruję się na tu i teraz. Chłonę to, co dzieje się przede mną, każdym napiętym zmysłem.

Niestety, tym razem nie bardzo mam co chłonąć. Salka, którą oglądam już drugą godzinę, jest niedużym klimatyzowanym pudełkiem. Zamknięci w niej ludzie wiercą się na nudnych białych krzesłach, przy nudnym białym stole. Na widok takiego pomieszczenia moje myśli rzadko błędzą. Przez większość czasu bez trudu utrzymuję skupienie.

Wraz z kolegami z pracy biorę udział w spotkaniu z zarządem elektrowni jądrowej Turkey Point na Florydzie. Po prawej stronie ekranu mam naszego szefa deweloperów, który jest moim headem, oraz dyrektora sprzedaży. Po lewej widzę władców atomu: szefa koncernu energetycznego, dyrektora Turkey Point i jej głównego inżyniera. Nasi, włącznie ze stojącym u szczytu stołu prezesem, emanują dobrą wolą i profesjonalizmem. Tamci udają zwątpienie i brak zainteresowania. Wszystkie te emocje są jednak tylko grą w sprzedaj-kup, rozgrywaną dla zachowania pozorów. My wiemy, że sprzedamy, bo nasz produkt – inteligentne oprogramowanie zarządzające elektrownią – jest najlepszy na świecie. Oni wiedzą, że kupią, bo dzięki nam staną się bardziej dochodowi. Grają więc wyłącznie dlatego, że im się za to płaci.

Takie zebranie, całkowicie zbędne, to pierwszy krąg korporacyjnego piekła. Ale kto powiedział, że piekło jest mniej interesujące od nieba?

— Na koniec dodam, że HSSE mamy w naszym DNA
— kończy prezentację prezes.

„Powiedział, że coś tam mamy w naszym DNA” – czytuję w drugim okienku z Amy.

Odpowiedź przychodzi natychmiast – ikonka wymiotów.

Odsyłam trzy takie same ikonki.

Obie nienawidzimy stwierdzenia, że coś ma się w swoim DNA. Amy dała mi kiedyś do zrozumienia, że gdy słyszy lub widzi ten zwrot, robi jej się niedobrze. Mnie w takiej sytuacji również chce się rzygać.

— A teraz czas na szczegóły. Przedstawi je państwu Jane, nasza najlepsza projektantka systemów.

Na pozór wszystko jest OK. Ale wcale nie jest, bo prezes zaakcentował, co trzeba. Używając słowa „najlepsza”, delikatnie, ale jednak puścił oko, by przekierować na

mnie uwagę. I teraz jest ich sześciu kontra ja jedna, oni średnia wieku pięćdziesiąt, ja – połowa tego. Widzę, jak na mnie patrzą, nienaturalnie powiększoną na wielocalowym ekranie, i dostrzegam ich starania, żeby nic po sobie nie pokazać. Gdy prezes subtelnie akcentuje moją inność, jedynie szef zespołu deweloperów posyła mu czytelne, przesadnie ostrzegawcze spojrzenie trenującego umiejętności społeczne aspergerowca.

Rejestruję to, jak całą resztę. Mam ochotę przysunąć się do kamery, włączyć animację obrazu i posłać im nienaturalnie szeroki, rozbujany w powietrzu uśmiech kota z Cheshire.

— Dzień dobry — zaczynam uprzejmie. — System, który państwu oferujemy, został wytrenowany na ośrodku o produktywności zbliżonej do Turkey Point. Uwzględniliśmy tutejsze uwarunkowania geologiczne i klimatyczne, sprzęgając sztuczną inteligencję z jej odpowiednikiem pracującym dla Światowej Organizacji Meteorologicznej. Dostają więc państwo produkt, który nie tylko zoptymalizuje produkcję mocy, ale również posłuży jako system wczesnego ostrzegania. Przed czym? Przed huraganami oraz zdarzeniami losowymi o zasięgu lokalnym.

Po lewej stronie stołu pojawiają się oznaki niepokoju.

— Jakimi zdarzeniami? — nerwowo pyta główny inżynier elektrowni.

— Awariami pomp w okolicznych miejscowościach — odpowiadam bez wahania, po czym robię pauzę.

Już od dekady Florydę podtrzymuje przy życiu skomplikowany system przeciwpowodziowy. Składają się na niego wały chroniące domy milionerów przed zalaniem, pompy odprowadzające wodę morską, której nie może wchłonąć nasiąknięta jak gąbka gleba, hydrauliczne

platformy, na których umieszczono wrażliwe elementy miejskiej infrastruktury. W teorii to odlotowy high-tech, w praktyce niebywale zawodne przeciwieństwo kroplówek, które nie radzi sobie z odwadnianiem zalewanego łądu. Jednak nie jest to wiedza, która byłaby potrzebna opinii publicznej. Obowiązuje zatem hurraoptymistyczna wersja rzeczywistości, zgodnie z którą Floryda modelowo poradziła sobie z zagrożeniem, jakie stanowi podnoszenie się poziomu oceanów.

Przez szparę między kotarami do sali konferencyjnej wdziera się promień słońca. Jarzący się na ścianie pasek przypomina miecz świetlny. W wyobraźni chwytam go, zamieniając się w Jedi Jane.

— W ciągu ostatnich dwudziestu lat poziom wody wokół Turkey Point wzrósł o półtora metra — zaczynam jatkę. — Jesteście już tylko dwa i pół metra powyżej lustra wody. Wasza podatność na niekorzystne losowo ciągi zdarzeń rośnie z każdym miesiącem. Ale my to naprawimy. Nasz system nie jest, jak wszystko, co pobudowaliście dookoła — dla efektu wskazuję krawędzie obrazu, czyli białe ściany, które mają wokół siebie — plastrem ani tymczasową protezą, lecz permanentnym rozwiązaniem. Zredukujecie zatrudnienie, zoptymalizujecie oddawanie energii do sieci, ryzyko będzie szacowane z dokładnością i precyzją nieosiągalną dla ludzkiego operatora, w czasie rzeczywistym. Jeśli sobie zażyczycie, mamy też moduł architektoniczny — dodaję, nie mogąc się powstrzymać, bo moduł architektoniczny to moje ukochane dziecko — który stopniowo przeprowadzi was przez każdą budowlaną tranzycję wymaganą przez uwarunkowania środowiskowe. Z nami nawet się nie zorientujecie, kiedy staniecie się pierwszą elektrownią jądrową działającą całkowicie pod wodą.

Elektrownia jądrowa pod wodą? Powiedziałam to na głos? Sześć par oczu po obu stronach stołu patrzy na mnie ze strachem.

Słońce opuściło się za horyzont, promień zniknął ze ściany. Jednak pod powiekami ciągle mam jego drażniący negatyw, powidok.

— Dziękujemy, Jane — mówi mój szef po chwili ciszy. — Naprawdę bardzo ci dziękujemy.

Nie przesłyszałam się, dodał „naprawdę”? Kopiuję to z transkrypcji i wysyłam Amy.

W odpowiedzi dostaję cały ekran rzygów.

A potem, zupełnie niespodziewanie, Amy przysyła mi prezent. Wejściówkę na event... Gdzie? Na Nowej Fundlandii? Mam ochotę głośno się roześmiać, z radości i z zaskoczenia.

Nowa Fundlandia, serio, Amy?

Marie

Śmigła helikoptera tną mgłę. Światła czujników odbijają się w kropelkach wody, powiększając się i puchnąc. Warkot otumania i nie potrafię wmówić sobie, że pokonuję przestrzeń. Mam wrażenie, że helikopter wisi w powietrzu, unieruchomiony przez szary opar.

Warkot się wzmacnia, obniżamy lot. Mgła za szybą zaczyna śmigać, rwie się na strzępy.

Trzęsie nami, odruchowo zaciskam dłoń na oparciu fotela. Wyobrażam sobie płyny i mazie, w których zawieszony są organy, najważniejsze części mojego ciała. Nagle trafiamy w dziurę powietrzną, puste miejsce, w którym helikopter nie ma się na czym oprzeć. Spadamy, a siła bezwładności podrywa mnie z fotela.

Gdy zaraz potem opadam na siedzenie, myślę tylko o nich. Co za ulga, że przyleciały tutaj uśpione, przypięte pasami do brzucha transportowca. Gdyby odczuły to co ja, przeżyłyby szok.

Im niżej, tym wstrząsy są słabsze. Tuż nad ziemią dokucza mi tylko warkot. Lądujemy miękko, niczym na wielkim lotnisku na środku kontynentu.

Drzwi się otwierają. Komendy w słuchawkach pozwalają rozpiąć pasy bezpieczeństwa. Zdumiewa mnie twardość betonu, na którym stawiam stopy. Pierwszy oddech zaskakuje – powietrze ma inny smak, zapachy składają się w nieznaną bukiet. Ocean, skały, trawy, jest tu wilgotno, tak jak się spodziewałam, i o wiele cieplej, niż przypuszczałam.

Lotnisko na Wyspie Świętego Pawła, jednej z dwóch zamieszkałych Wysp Pribyłowa, to – jak wszędzie w odległych punktach półkuli północnej – betonowy plac wylany w bezdrzewnej pustce. Surową okolicę szpeci hangar, niski i poszarzały, w którym kryje się obsługa portu powietrznego. Jednak nawet w nim jest oddzielne przejście dla VIP-ów. Wyjątkowość tych, którzy nie przylatują tutaj rejsowym samolotem kursującym raz w tygodniu, lecz własnymi pojazdami powietrznymi, podkreślają dodatkowe drzwi na zewnątrz. Niczym się nie różnią od zwykłych, ale są.

Gdy formalności się kończą i wychodzę przed budynek, otwieram szerzej oczy. Szutrowa droga jest niemal czarna. Mgła sunie po łagodnych stokach. Wyobrażam sobie, jak moje wielkie zwierzęta będą się z niej wynurzać, niczym kolosy powracające z otchłani.

Wyspy Pribyłowa to jedno z ostatnich miejsc na Ziemi, gdzie żyły mamuty włochate. Przetrwały na skrawkach łądu na Morzu Beringa aż do czasów Egiptu faraonów.

Gdy trzy tysiące lat temu nad Nilem na tronie zasiadła I dynastia, tutaj, w nieznanym nikomu zakątku globu, ciągle pasły się nieduże stada plejstocenijskiej megafauny. Mamuty, ostatni żywi przedstawiciele świata mastodontów, tygrysów szablozębnych i glyptodontów, były finalną kropką zamykającą wielki rozdział atlasu życia.

Mrużę oczy. Łapię się na tym, że myślę własną prezentacją na TED-eksie.

Na szczęście akurat nadjeżdża jeep. Hana, muskularna brunetka, wyskakuje na drogę. Mocno się ściskamy. Nim się zorientuję, wrzuca moje bagaże na przyczepę.

— Jak się masz, Marie? — pyta, gdy już siedzę koło niej, a wycieraczki wypychają z szyb błoto i mgłę.

— Dziękuję, dobrze.

— Jak się czujesz?

— Lot był w porządku.

— Nie o to pytam.

— Wiem. Nagrin już przyleciał? — zmieniam temat.

Hana unosi brwi. W ten sposób kwituje unik, jaki zrobiłam.

— Przyleciał — potwierdza.

Potem dodaje, że nasze mamuty świetnie się zaaklimatyzowały. „Widziałaś, Marie?”. Oczywiście, że widziałam. Mam całodobowy podgląd na siedem dorosłych osobników i dwa małe, które pasą się na zamkniętym wybiegu dziesięć kilometrów od osady Saint Paul. Mamuty nie zdradzają niepokoju ani stresu, nie unikają pokarmu i wydają się nabierać ochoty na wędrówki. To duża zmiana w stosunku do późnej wiosny, kiedy je tu przywieźliśmy. Po wybudzeniu z narkozy na Wyspach Pribyłowa były wyraźnie przestraszone, trzymały się blisko siebie, a przewodniczka stada sygnalizowała im, że nie zna tego miejsca i nie wie, czego się po nim spodziewać. Z czasem

jednak odkryły wrodzone umiłowanie monotonii i zasmakowały w ciszy pustych wzgórz, w niezmienności otoczenia. Spotkania z opiekunami stały się coraz rzadsze, zwierzęta posilały się same, przewodniczka coraz chętniej badała granice ich świata wyznaczone ogrodzeniem. Teraz, wczesną jesienią, były gotowe, żeby odejść.

Wiem o tym wszystkim, a Hana wie, że wiem. Jednak ze szczegółami opowiada mi o naszych podopiecznych. Ręce trzyma na kierownicy, wzrok na drodze. Nie zadaje mi już żadnych osobistych pytań.

Szuranie opon na szutrze wypełnia kabinę samochodu. Mijamy osadę przytuloną do lotniska i skręcamy w głąb wyspy. Uświadamiam sobie, że nie słyszałam ptasich krzyków na klifach. Hana milknie. Wzgórza dookoła są całe zielone i niezbyt wysokie; idealne środowisko dla spokojnych wielkich ssaków, które lubią przemierzać duże odległości. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dwa lata doczekamy się pierwszego mamuta urodzonego na wolności.

Przyspieszamy. Koła buksują. Z oddali napływa odgłos wstążek furkocących na wietrze... Nepal, droga na Khumbu.

Przepędzam wspomnienie jak złego ducha, jak czarnego psa.

— Przepraszam, Hana, ale nie jestem gotowa rozmawiać o Daganie — oświadczam głośno.

— Oczywiście. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, jestem.

Reszta drogi mija w milczeniu.

Dojeżdżamy na miejsce. Rozległą łąkę otacza metalowe ogrodzenie wysokie na cztery metry. Krople wody zwisają z traw i żelaznych prętów klatki. Połowa wybiegu jest widoczna i pusta. Drugą spowija mgła.

Kiedy wysiadam z jeepa, pierwsze, co widzę, to pieniądze: dwa czarne hummery. Nie wierzę, że przywieziono je na ten zapomniany skrawek lądu. Stojący wokół nich mężczyźni, ubrani jak myśliwi albo najemnicy, mają ze sobą długą broń. Podchodzą do nas wraz z przystojną pięćdziesięcioletnią blondynką o zawziętym wyrazie twarzy, która nazywa się Ada Kamalia.

Ada, w zielonej kurtce i wełnianej czapce, jest osobistą asystentką Kaleba Nagrina – głównego sponsora naszych badań. A także posiadacza największego pakietu akcji dwóch z trzech globalnych techkorpów i najbogatszego człowieka świata.

Podczas gdy ludzie Nagrina skanują auto Hany i moje bagaże za pomocą jakiejś wymyślnej elektroniki, zastanawiam się, w którym z hummerów siedzi on sam.

— Dzień dobry, Marie. Mam nadzieję, że miałaś dobry lot. Przepraszam za tę ostrożność — mówi Ada z mechaniczną uprzejmością. — Kaleb dostaje ostatnio mnóstwo pogrózek.

Trudno się dziwić, słyszę w myślach nie swój głos.

Aż się wzdrygam.

— Zmarzłaś? Zapraszam, Kaleb czeka w...

— Nie — odmawiam. — Nie, dziękuję. — Kręcę głową, jakbym chciała w ten sposób wyrzucić z umysłu wszystko, co nie jest moje. — Najpierw muszę je zobaczyć — wyjaśniam uprzejmie. — Czy Kaleb miałby ochotę przejść się ze mną? Przekażesz mu tę prośbę?

Mija chwila, po czym drzwi jednego z hummerów się otwierają.

Kaleb Nagrin to niski trzydziestoparolatek. Wiem o nim tyle, ile wszyscy; że dorobił się na drugiej generacji mediów społecznościowych, które połączył z największymi na świecie platformami abonamentowymi; że jako

emitent pierwszej globalnej cyfrowej waluty znajduje się na celowniku większości niezależnych ekonomistów zarówno konserwatywnych, jak i postępowych think tanków; że otwarcie szantażuje i rządy demokratyczne, i dyktatorów; że jest idolem młodzieży na całym świecie. A także to, czego podobno nie wie nikt – że w dzieciństwie szalał na punkcie komputerowych gier retro i że zakochał się w odkrytej na końcu internetu przygodówce *Syberia*, której fabuła kręciła się wokół mamutów. „Chcę zobaczyć je żywe”, powiedział mi, gdy pierwszy raz odwiedził mnie w laboratorium w Toronto. „Dam ci tyle pieniędzy, o ile nigdy nie umiałabyś poprosić, ale mam kilka warunków. Najważniejszy: dziesięć lat. Chcę je zobaczyć żywe za dziesięć lat”.

To było siedem lat i jednaście miesięcy temu.

Najbogatszy człowiek świata wita mnie jak dobrą znajomą. Na otwartej przestrzeni, między hummerami a jeepem, wydaje się niższy niż w zamkniętych pomieszczeniach, gdzie dotychczas go widywałam. Ma szerokie usta i przenikliwy wzrok osoby ponadprzeciętnie inteligentnej.

— Nie mogę się doczekać, kiedy je wypuścimy — mówi szczerze po rutynowych powitaniach. — To niesamowite, czego dokonałaś, Marie!

Dokonałam? Ja? To miłe, że tak to nazywa, choćby w cztery oczy.

Od samego początku wiem, że przywrócenie do życia mamutów włochatych zostanie zapamiętane jako sukces Nagrina, nie mój. I jako jego pomysł, nie mój. To proste, Nagrin tylko na OurWorldzie ma sto pięćdziesiąt milionów followersów, a ja żadnego, bo nigdy nie założyłam sobie konta. Do komunikowania się ze światem w sprawach zawodowych wystarcza mi profil instytutu. A więc to będzie sukces pieniędzy, nie nauki – ja osobiście przy-

gotowuję się jedynie na kilka wywiadów oszpeconych klikbajtowymi tytułami oraz wpis w Wikipedii – „kontynuując pionierską pracę dr. Churcha i dokładając za pomocą CRISPR-Cas9 kolejne geny do DNA słoni afrykańskich...” – którego od tego miejsca nikt, poza specjalistami, nie będzie już czytał dalej.

Uśmiecham się, bo to moje niewątpliwe przyszłe zniknięcie wcale mnie nie niepokoi. Wręcz przeciwnie, zaspokaja moją najgłębszą potrzebę nierobienia rzeczy jak wszyscy, nieukładania sobie kariery jak wszyscy, niewyrabiania sobie nazwiska jak wszyscy; krótko mówiąc, zaspokaja moje najpierwotniejsze i konstytuujące pragnienie buntu.

Podchodzimy z Kalebem do ogrodzenia. Mgła gęstnieje i widoczność robi się coraz gorsza. Nagle słyszę głucho uderzenia. Mam wrażenie, że ziemia lekko drży. Podnoszę ręce i zaciskam je na metalowych prętach. Kaleb staje przy mnie, a jego dłoń pojawia się obok mojej. Na tyle blisko, że gdybym chciała, mogłabym musnąć jego palce.

Odsuwam się w bok.

W oddali, w polu pociętym przez kraty, pojawia się owłosiona trąba. Za nią z mgły powoli wyłania się kiel i masywna przednia kończyna mamuta. Tuż przy niej dostrzegam mamuciątko. Roczny samiec, wielkości świni, ociera się o nogę matki.

Ten widok sprawia, że zastygam. Dzieje się to, co – miałam nadzieję – zdarzy się właśnie w tym momencie. Wszystko, z czym tu przyjechałam, zostaje unieważnione. Przeszłość się pieczętuje, minione znika za horyzontem. Za chwilę będzie po wszystkim, myślę.

Ogarnia mnie spokój, a potem czuję coś, czego nie czułam od bardzo dawna: nagłe i głębokie szczęście.